

Sebastian Pawlina

CZYI SĄ „NASI CHŁOPCY”? GŁOS W SPRAWIE MUZEUM GDAŃSKA

Jestem na tyle stary, że pamiętam, kiedy w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych pamięć o Powstaniu Warszawskim nie tylko w Polsce, ale i w samej Warszawie nie była pierwszą oczywistością porządku rzeczy. Zatrzymanie się na ulicy 1 sierpnia o 17.00 to był wyjątek, nie norma. Dzięki rodzicom już jako kilkulatek wiedziałem, że tak trzeba. Kiedy miałem jakieś 10 lat irytowało mnie, że inni tego nie robią. Ale przyszedł rok 2004 i Warszawa odzyskała pamięć. Była jej pełna na ulicach, przystankach, w mediach. W kolejnych latach umacniała się w niej, aż rozlała ją na resztę Polski. Dzisiaj godzinę „W” pielęgnują nie tylko w Warszawie, lecz także w Gdańsku, Wrocławiu i dziesiątkach innych miast i miasteczek. Od kilku tygodni na stołecznych ulicach nie da się nie zauważyć plakatów z hasłem: „Dziel się pamięcią, bo zniknie”. Jestem za. Dzielmy się. Ja się dzielę. Trochę zawodowo, ale przede wszystkim osobiście. Choć nikt z mojej rodziny nie walczył w powstaniu, to wychowałem się na Woli, gdzie powstanie dosłownie wsiąkło w ziemię. Pałacyk Michła, Żytnia, Wola, szpital wolski, Wanda Lurie, kościół św. Wojciecha, to dla mnie nie hasła bez zaczepienia w rzeczywistości, ale opowieści wpisane w ulice i budynki, między którymi budowałem swoje imaginarium. Mając 16 lat, znałem tam każdą tablicę Tchorka, a do rzeźby przed szpitalem wolskim podchodziłem regularnie, żeby zapamiętać wyryty na głazie tekst. Bo pamięć jest obowiązkiem. Jeśli my nie będziemy pamiętać o naszych przodkach, to dlaczego o nas ma pamiętać ktokolwiek?

Ale w zasadzie, którą pamięcią mamy się dzielić? Każdą? Czy tylko tą wybraną? Tylko tą naszą? To nawet logiczne. Dzielmy się tym, co nasze. Cudzym nie wypada. Ale co jest nasze? Pisałem o tym niedawno, ale jako zodiakalny byk jestem uparty. Więc raz jeszcze – co jest nasze? Niedawno pod wpisem Antoniego Dudka na temat wystawy „Nasi chłopcy. Mieszkańcy Pomorza Gdańskiego w armii III Rzeszy” pewien historyk z dużego warszawskiego muzeum, nazwisko nie ma znaczenia, napisał, że opowieść z tej wystawy, to nie jest jego opowieść. Nie jest jego, bo nie jest warszawska. Jako historyk z innego dużego warszawskiego muzeum nie rozumiem tej logiki. Historyk jest od tego, żeby wczuwać się

w emocje innych. Jeśli uznajemy, że rozpatrywanie przeszłości w zgodzie z dzisiejszymi wzorcami zachowań czy moralności jest błędne, to tę samą miarę powinniśmy stosować w przestrzeni geograficznej. I nawet to robimy. Rozumiemy, że mieszkańcy Ameryki Południowej mogą nie znać naszej historii, tak samo jak my nie znamy ich i nie rozumiemy wielu spraw z niej wynikających. Dlaczego więc w granicach własnej ojczyzny nie umiemy zrobić tego samego? Boimy się, że jeśli pozwolimy innym na rozpowszechnianie ich pamięci, to nasza straci na znaczeniu? Czy uciekamy przed pewnymi tematami, bo są groźne dla budowania pozytywnego obrazu nas samych?

Ale protestuję wobec takiego stawiania sprawy również jako człowiek. Niezależnie od tego kim jesteśmy z zawodu, powinniśmy dbać o społeczeństwo. Na wielu poziomach. Każdy tak, jak potrafi. Ale zawsze z szacunkiem do innych. Naiwność? Tak. Ale skoro nie mamy szacunku do ludzi, którzy mają potrzebę poczuć, że ich opowieść też ma prawo zaistnieć we wspólnej przestrzeni, to oznacza, że mamy problem. Więc znowu się powtórzę. Awantura o wystawę w Muzeum Gdańska jest awanturą o to, jak chcemy się nawzajem traktować. O to, czy umiemy dostrzec to, że ktoś cierpi, czy jedynie skupiamy się na sobie. Od niedawna sam doświadczam tego, jak ważne jest, aby inni nas widzieli i zaakceptowali to, że jest nam ciężko. Moje wyznanie, że mam depresję,



Fot. 1. Wystawa „Nasi chłopcy”, fot. Muzeum Gdańska

spotkało się z wieloma reakcjami. W większości pozytywnymi. Ludzie mnie pocieszali, oferowali pomoc, mówili, że dobrze zrobiłem ujawniając się z tym. Ja to wiem. Jednym z koszmarów depresji jest poczucie, że człowiek jest sam, że nikt go nie rozumie, że wszystkim przeszkadza. W efekcie coraz bardziej się zamyka i w końcu w tej samotności traci poczucie własnej wartości. Wszystko to przerobiłem. Sam widzę z perspektywy czasu, ile razy reagowałem w rozmowach za mocno. Każdą uwagę odbierałem jak krytykę, przerabiałem ją w głowie dziesiątki razy, wracałem do niej. Sam sobie robiłem krzywdę. Co więcej, próby pomocy odbierałem jako atak. Czułem się coraz bardziej sam. Od kiedy biorę leki, umiem na to spojrzeć z dystansem, łatwiej jest mi wyczuć intencje. Dzięki temu zacząłem doceniać obecność ludzi, którzy się o mnie martwią. Wiem, że nie jestem w tym sam. I to mi bardzo pomaga. A teraz rozciągnijmy ten mechanizm na społeczeństwo. Zwracając się do jakiejś grupy, która prosi jedynie o odrobinę uwagi i rozmowę, zachowujemy się jak ktoś, kto cierpiącemu na depresję odmawia pomocy. I nie mówicie, że to tylko tytuł, że tak to akceptujecie. Jeśli ktoś cierpi, jeśli mówi, że potrzebuje porozmawiać, żeby ktoś go wysłuchał, to akceptujemy to, co chce nam powiedzieć. Nie mówimy mu, jak się powinien zachować. Bo nie my przeżywamy to, co on. Pomaga się tak, jak ten ktoś tego chce. Pomaganie tak, jak my chcemy, to nic więcej niż próba poprawienia sobie nastroju. „Ej, zobacz, chcę ci pomóc. Ale tego, to nie rób, to mi się nie podoba”. Albo razem, albo wcale.

No dobrze, ale co w końcu z tymi „Naszymi chłopcami”? Byłem, widziałem. To jest wielka wystawa. Fizycznie mała, artystycznie oszczędna, skromna w eksponaty. Ale wielka. Jest też mądra, tłumacząca, empatyczna, odpowiedzialna. Teksty kuratorskie powinny być pokazywane jako przykład tego, jak należy opowiadać o tematach trudnych. Są wyważone, widać, że każde słowo zostało przemyślane. A jednocześnie drżą od emocji. Jak rzadko kiedy chciałem przeczytać każdy. Jeśli się wybieriecie, to też to zróbcie, bo wiele z nich oferuje indywidualne opowieści, z których niemal każda zostawia w głowie wątpliwość. Czy patrzyłbym jak najbliżsi głodują, czy poświęciłbym się, żeby mieli co jeść? Ważniejsza dla mnie byłaby duma z tego, kim jestem, czy uratowanie ojca z obozu? I czy ryzykowałbym ukrywając przed dowódcą polski dokument, żeby w razie złapania przez drugą stronę móc udowodnić kim jestem? Oni ukrywali przed dowódcami, że mają polskie legitymacje szkolne. A co bym zrobił po wojnie jako członek rodziny jednego z „naszych chłopców”? Mówiłbym o tacie, wujku, bracie, czy milczał? Jeśli wybrałbym drugą opcję, to mój ból jedynie by rósł, pęczniał, a we mnie dojrzewałoby poczucie, że nikt mnie nie rozumie. Więc czyi są „Nasi chłopcy”? Są mieszkańcy Pomorza. Tak. Ale nie tylko. Są nasi, polscy. Są moi. Tak



Fot. 2. Protest przed siedzibą Muzeum Gdańska, fot. Muzeum Gdańska

jak moi są powstańcy warszawscy. Wszystkich biorę jak swoich. Bo to, co zrobili pięknego, oraz to, co zrobili haniebnego, nigdy nie będzie elementem mojego własnego doświadczenia. Nie czuję się dumny z tego, że 1 sierpnia poszli do walki, nie czuję wstydu, że zmuszono ich walczyć dla Niemca. Dumny mogę być z siebie, z żony, z córki. Ale chcę mieć świadomość tego, jacy byli moi przodkowie. Chcę ich zrozumieć, opowiedzieć o nich. Żeby to, co zrobili, mogło być dla kogoś nauką, doświadczeniem, które w czymś mu pomoże. W ten sposób zrobię dla nich więcej, niż krzycząc „duma” czy „hańba”.

Polacy są uznawani za jeden z najbardziej strauumatyzowanych narodów świata. Jednym z powodów tej traumy jest nieprzepracowany koszmar drugiej wojny światowej. W „Korzeniach pamięci”, projekcie Muzeum Powstania Warszawskiego, w rozmowach z rodzinami powstańców temat traumy pojawia się często. Niektórzy wprost mówią, że gdyby mama, tata, ciocia czy dziadek mieli możliwość porozmawiać te 70, 60, 50 lat temu ze specjalistą o tym, czego doświadczyli, to może byliby innymi ludźmi, może potrafiliby być innymi rodzicami, dziadkami. Ale nie mieli tej możliwości. Dzisiaj ich rodziny mogą o tym mówić. Mogą przepracowywać swoją wtórną traumę. Dlaczego chcemy tego samego odmówić Pomorzanom? W imię czego? Dobrego samopoczucia? Albert Camus pisał, że „nie należy mącić snu zacnym ludziom. Do tego trzeba

by złego smaku, a dobry smak, jak wiadomo, polega na tym, żeby nie nalegać". Ale co to za życie, jeśli ciągle się śni?

A kuratorom i wszystkim twórcom „Naszych chłopców” dziękuję, zrobiliście kawał dobrej roboty. Tłumy, które przychodzą na nią i reakcje w środku – widziałem całe rodziny, które pokazywały sobie różne rzeczy, tłumaczyły, słyszałem rozmowy ludzi, którzy mówili, że podobne dokumenty mają w domu, stałem obok starszej pani, która czytając o powojennym milczeniu płakała – są tego dowodem. I tego Wam nikt nie odbierze. A jeśli będzie chciał, to pozostanie zrobić to, co robi moja 3-latka. Podejść do nich i powiedzieć „daj łapkę, chodź, coś ci pokażę”. A potem zaprowadzić go na wystawę.

Sebastian Pawlina

ORCID: 0000-0003-1484-6907